**Zakłamane pradzieje**

**Zapewne każdy z nas słyszał o przypisywanej niemieckiemu filozofowi Georgowi Heglowi maksymie „Jeśli fakty nie zgadzają się z teorią, tym gorzej dla faktów”. W dobie popularności terminu fake news jesteśmy także świadomi, że wiele zjawisk i wydarzeń, o których prawdziwości się nas zapewnia, może być równie realnych, jak Johnny 11 Palców z reklamy telefonii komórkowej. Ta smutna prawidłowość dotyczy nawet tak fascynującej dziedziny życia jak archeologia.**

Motywy fałszowania odległej przeszłości bywają rozmaite: chęć zysku, związane z nim dążenie do turystycznego wypromowania danej okolicy, czasami względy ideologiczne. Największym naukowym oszustwem XX wieku została okrzyknięta sprawa tzw. człowieka z Piltdown, niewielkiej osady w brytyjskim hrabstwie East Sussex. W lutym 1912 r. archeolog amator Charles Dawson poinformował kustosza działu geologicznego londyńskiego Muzeum Historii Naturalnej Arthura Smitha Woodwarda o odnalezieniu w tamtejszym wyrobisku żwiru fragmentu czaszki przypominającej ludzką. Latem tego roku obydwaj badacze rzekomo natrafili w tym miejscu na więcej śladów praczłowieka, m.in. prymitywne narzędzia, żuchwę i zęby. Dokonana przez Woodwarda rekonstrukcja czaszki istoty, która otrzymała łacińską nazwę *Eoanthropus dawsoni*, miała dowodzić istnienia brakującego ogniwa ewolucji między człowiekiem a małpą. Od początku taka interpretacja budziła kontrowersje. Poddawali ją w wątpliwość m.in. paleontolodzy z Francji i Niemiec, co nadało obronie prawdziwości teorii nacjonalistyczny posmak.

Manipulacja została ostatecznie zdemaskowana przez zespół uczonych, który opublikował rezultaty swoich badań w numerze magazynu „Time” w listopadzie 1953 r. Udowodnili oni, że rzekome kości człowieka z Piltdown to połączenie średniowiecznej ludzkiej czaszki, pięćsetletniej dolnej szczęki orangutana i kości kopalnego szympansa. Wrażenie prehistorycznego pochodzenia miało im nadać poplamienie mieszanką żelaza z kwasem chromowym oraz nastawienie zębów tak, aby pasowały do pokarmów spożywanych w tamtej epoce przez ludzi. Najprawdopodobniej fałszerstwa dokonał sam Dawson, choć wśród podejrzanych wymieniano też współpracującego z nim kontrowersyjnego teologa, a jednocześnie przyrodnika ojca Pierre’a Teilhard de Chardina, a nawet Arthura Conan Doyle’a. Odkrycie oszustwa obaliło przekonanie, że rozwój ludzkiego mózgu poprzedzał przystosowanie szczęki do nowych rodzajów pożywienia. Było też ciosem dla tych, którzy chcieli widzieć korzenie naszego gatunku w Europie.

Największym naukowym oszustwem XX wieku została okrzyknięta sprawa tzw. człowieka z Piltdown.

**Fałszywi bogowie**

W bliższych nam geograficznie regionach podobnych spryciarzy nie brakowało już w poprzednich stuleciach. W 1768 r. doktor Joachim Hempl kupił od braci Jakoba i Gideona Sponholzów w Pillwitz z niemieckiej Meklemburgii zbiór 46 pokrytych runami przedmiotów wyglądających na relikty kultu religijnego, głównie posążków bóstw. Zapewnili oni nabywcę, że nie posiadają ich więcej, jednak później sprzedali kolejne partie rzekomo znalezionych przez siebie artefaktów m.in. Janowi Potockiemu. Jako pierwszy ich bezwartościowość przekonująco udowodnił w 1825 r. ceniony berliński archeolog Konrad Lewezow. W tym przypadku również okazało się, że Sponholzowie wraz ze wspólnikiem garncarzem Pohlem postarzali figurki różnymi kwasami oraz boraksem, tworząc sztuczną rdzę i patynę.

Dalsze badania wykazały, że na kilku autentycznie prehistorycznych posążkach z tej kolekcji pierwotnie nie było run. Według Antoniego Małeckiego zostały one zaczerpnięte ze współczesnego „znaleziskom” opisu Meklemburgii Hansa Heinricha Kluvera. Lwowski uczony wykazał, że język inskrypcji to mieszanka wyrazów słowiańskich, bałtyckich i niemieckich. Hochsztapler na tyle wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę, że dostarczył miejscowemu muzeum czternaście kolejnych kamieni, na których próbował innych lingwistycznych kombinacji, łącząc nawet narzecza skandynawskie z łaciną. Nieostrożny Sponholz nie ustrzegł się w swoim procederze takich niemających nic wspólnego z prasłowiańskością anachronizmów jak nawiązania do postaci diabła oraz zniszczonego sto lat przed powstaniem Prillwitz grodu w Retrze. Więcej informacji o tym tragikomicznym epizodzie historii można znaleźć na blogu o historii i literaturze „Se czytam”, który umieścił idoli z Prillwitz w kontekście popularnej pseudonaukowej koncepcji „Wielkiej Lechii” oraz podobnego incydentu z dziejów Polski.

Mowa o tzw. kamieniach mikorzyńskich, nazwanych tak od miejscowości Mikorzyn w okolicach wielkopolskiego Kępna. W czerwcu 1856 r. brat właściciela tamtejszego majątku ziemskiego Piotr Droszewski ogłosił na łamach „Gazety Wielkiego Xięstwa Poznańskiego”, że przypadkowo odkopał w dworskim ogrodzie kamień do żaren pokryty napisami runicznymi i wyobrażeniem połabskiego bóstwa Prowe znanego z dwunastowiecznej kroniki Helmolda. Według tego dziejopisarza nie istniała żadna podobizna tej istoty, co wzbudziło sceptycyzm badających obiekt historyków, którzy skądinąd powątpiewali w samo istnienie takiego kultu. Rok później w miejscowym lasku miał zostać odnaleziony drugi podobny obiekt. Zdaniem Karola Estreichera Droszewski najpewniej sporządził podobiznę Prowe na podstawie dzieła Joachima Lelewela, na które trafił w bibliotece jednego z miejscowych ziemian. Tym sposobem upadł kolejny „dowód” na istnienie przedchrześcijańskiego pisma Słowian.

Okazało się, że Sponholzowie wraz ze swym wspólnikiem postarzali figurki różnymi kwasami oraz boraksem, tworząc sztuczną rdzę i patynę.

**Ile zabytku w zabytku?**

O ironio, koń wyobrażony na drugim z kamieni mikorzyńskich być może został skopiowany z innego głośnego w XIX wieku zabytku, którego pochodzenie do dziś nie zostało ostatecznie wyjaśnione. Mowa o Światowidzie ze Zbrucza – liczącym ponad dwa i pół metra posągu wykopanym z dna rzecznego w 1848 r. w Liczkowcach koło Husiatyna na Podolu. Trzy lata później trafił on do Muzeum Archeologicznego w Krakowie, w którego zbiorach znajduje się do dziś. Rzeźba zawdzięcza nazwę Lelewelowi, który błędnie uznał ją za wyobrażenie połabskiego boga Świętowita. Późniejsi naukowcy widzieli w idolu przejaw wczesnośredniowiecznego kultu Peruna, Swarożyca lub innych bóstw słowiańskich. Pojawiały się także hipotezy o jego trackim, irańskim lub celtyckim pochodzeniu.

Nie brakowało także głosów, że Światowid to późniejsze fałszerstwo. Sceptycy wskazywali na odosobniony charakter oraz nadzwyczajną odporność rzeźby na upływ czasu. W 2012 r. ukraińscy archeolodzy Oleksij Komar i Natalia Chamajko zbadali, że posąg powstał, gdy właścicielem dworu w Liczkowcach był pasjonujący się czasami przełomu pierwszego i drugiego tysiąclecia poeta Tymon Zaborowski, czyli w latach 20. XIX w. Zwrócili oni uwagę, że postaci rzekomych bożków pod wieloma względami przypominają świętych z ikon. Ich zdaniem w miejscowej tradycji brakuje przekazów o związkach dziedzica-artysty z idolem z racji jego tragicznej śmierci w 1828 r., która – jeżeli pogłoski o samobójstwie były prawdziwe – rychło stała się lokalnym tabu. Kilka lat później epidemia cholery doprowadziła do znacznych zmian struktury ludności tej części Ukrainy.

Rzeźba budzi tak wiele kontrowersji, ponieważ odpowiadający za jej przewiezienie do Krakowa Teofil Żebrawski (skądinąd człowiek o zaiste renesansowej bujności zainteresowań: kartograf, konserwator zabytków, tłumacz...) nie wykazał zainteresowania zebraniem informacji o jej znalezieniu w Zbruczu. Na dobrą sprawę nikt przekonująco nie wyjaśnił, w jaki sposób znalazła się w rzece. Zdaniem Rudolfa Kozłowskiego pierwotnie została zakopana w polu, a zatopienie posągu spowodowała zmiana koryta tego cieku wodnego. Jak widać, relikty odległej przeszłości przemożnie oddziałują na wyobraźnię osób, które się z nimi stykają. Niestety czasami inspirują także do działań nieetycznych. Zamieszanie wokół kryształowych czaszek z waszyngtońskiego Smithsonian Institution oraz znalezionej w Jerozolimie w 2003 r. tzw. steli Jonasza pokazuje, że mimo postępu technik stosowanych przez archeologów i historyków, kombinatorów wciąż nie brakuje.

Artykuł pochodzi ze strony www.gazetakoncept.pl